

tej ogromnej, na pół ciemnej izby i najmniejszy impuls, pierwsze lepsze popchnięcie, pierwszy krzyk mógł wywołać pioruny. Głuchy pomrok szedł po tych głowach, chwiejących się naksztalt fali. Należało to zażegnać i Stanisław zawołał:

— Bracia kochani!...

— Niema braterstwa z burżujami! — znowu ktoś syknął.

Ale Stanisław, nie podnosząc tych słów, wołał dalej:

— Nie zebraliśmy się tutaj dla tego, by rozstrzygać spory partyjne, tu nie idzie o burżujstwo, ale o to, by dać robotnikowi lepszą przyszłość zapewnić, dać mu tak silną podstawę ekonomiczną, by mógł żyć, nie oglądając się na pracodawcę...

— Ciekawy jestem, jak to...

— Cicho! milczeć! nie przeszkadzać! niech mów! — poczęto ze wszystkich stron wołać.

Jakoż zbiorowa wola masy wzięła górę nad kilkoma głosami rozwydrzonych półgłówek i żydowskich popleczników nie zdrowej idei socjalistycznej, ale wywrotu, zamętu, w którym oni mogliby ryby łowić. Uciszyło się więc i Stanisław powoli, systematycznie począł wykladać swoją teorię o Związkach, spółkach ekonomicznych robotniczych. Było może w tem wiele idealizmu, wiele teorii, zaczępiętych z książek, ale mowca pomalutku rozgrzewał się, zapalał, stawał się wymownym, słowa płynęły mu z ust, jak potok, porywał wszystkich za sobą. Słuchano go w milczeniu, chwytało każdy wyraz, na najmniejszy szelest syknano i zmuszano niechętnych do milczenia. Ten tłum, zdawałoby się niekiedy, przesycony mnóstwem najrozmaitszych ideałów, które w tej dobie, jak grzyby po deszczu, rodziły się na glebie polskiej, zawsze jaskrawe i tą jaskrawością swoją porywające umysły nieoświecone, ciemne, znękanе niedolą, stąd pragnące szczęścia, mniejsza o to, jaką drogą to mniemane szczęście ma przyjść, ten tłum jeszcze raz dał dowód, jak wielką jest potęgą słowa natchnionego, szczerzego, z głębi duszy płynącego.

Gdy Stanisław skończył, przez chwilę trwało jeszcze milczenie, a potem odezwał się jakiś głos:

— Wszystko to dobrze, ale jak zrobić?

— Proponuję — odparł na to Stanisław — aby zgromadzenie wybrało z pomiędzy siebie kilku członków, którzyby opracowali projekt Stowarzyszeń robotniczych, o których przed chwilą mówiłem. Zastanowimy się nad tem, a gdy projekt będzie gotowy, sprosimy znowu was wszystkich i projekt ten przedstawimy pod obrady ogólnego zgromadzenia. Cóż, dobrze?

— Chyba, że dobrze — odezwało się kilka głosów.

A inni wołali:

— Niech Marcin Jabłoński powie, czy to będzie dobrze, my ta pana Kozłowskiego nie znamy...

W rzeczy samej Stanisław niedawno do Gór przyjechał i jak dotąd prócz Marcina nie znał nikogo ze sfer robotniczych. Ta nieufność ubodła go trochę. Wszak przed chwilą całą duszę im wylał, naprężył wszystkie siły swego umysłu, by ich przekonać, że pragnie tylko ich dobra i szczęścia, a oni mu nie wierzą, nie ufają, mają go za zakapturzonego swego nieprzyjaciela. Stara niknąca niewiara do wszystkiego, co pachnie szlachectwem, przekazana robotnikowi polskiemu przez chłopów polskiego, odezwała się znowu i groziła zerwaniem słabej nitki wzajemnego porozumienia się i dążenia do jednego celu.

Skorzystało też z tego zaraz stronnictwo przeciwnie, stronnictwo owego Litwaka Michaiła Srułowicza Moisiejewa i postanowiło tę nieufność podnieść i rozognić.

— Tak! tak! nie znamy go wcale!

— Dyabeł wie, kto on taki!

— Burżuj!

— Szlagon!

— Szpicel!

— Pięknie gada, a na zdradzie stoi!

Ze wszystkich stron te obelgi, jak grad, sypały się na Stanisława, który stał oniemiały, przerażony, zdumiony tą zmiennością tłumy i nie wiedzący, jak się bronić przeciw tym napaściom.

Nakoniec zakotłowało się w tłumie, na estradę wyskoczył jakiś młokos, silny brunet, o wybitnie żydowskim typie, ubrany w surdut czarny i z wyraźnym akcentem żydowskim, głosem gardłowym począł wołać:

— Towarzysze i towarzyszki! Losu robotnika nie poprawią jakieś tam głupie Stowarzyszenia, ale zniszczenie doszczętne kapitalizmu, bo dopóki...

— Kto to? — przerwano mówcy.

— Złaż z estrady!

— Co to za jeden?

— To synek kupca z X., Szlomy Stokfisz!

— Co? żydy będą nam tu przewodzić!

— Jabłoński! a gadajcież, co robić...

A tu i owdzie tymczasem poczęła drzeć nuta znanej pieśni i rozlegały się słowa: „sędziami wówczas będziemy my“, nad zgromadzeniem całem unosiła się atmosfera kipiących namietności i gorączki, dochodzącej do ostatniego stopnia. Oczy ciskały błyskawice, twarze pały, ręce mimowolnie ścisnęły się w kuli. Panem Stanisławem oładnęło zupełne zniechęcenie. Wszak przed chwilą roztworzył im

zagłuszono zupełnie, nie dano mówić, choć kilkakrotnie usiłował przyjść do słowa, rzucał się naprzód, podnosił z zabawnym gestem obie ręce, wzrastające krzyki: precz! precz! precz! won! nie dozwalały mu wyłożyć ciekawej teorii, w jaki sposób należy zwalczyć przewagę kapitału i zapewnić szczęście ludzkości. Zniechęcony i gniewny, bo czarne jego oczy ciskały pioruny na ten szalejący tłum, a usta szeptały jakieś przekleństwa, stał usunawszy się nieco na bok, zapewne pragnąc doczekać się tej chwili, w której znowu będzie mógł rozpocząć wykład swej nauki.

A tymczasem wśród tego tłumy rozlegały się krzyki, wielu śpiewało pieśń partyjną, a tu i owdzie dawało się słyszeć przeciągłe gwizdanie, pochodzące zapewne stąd, że za starszymi na ten wiec przekradło się kilku wyrostków, kilku rozswawolonych chłopaków i korzystając z wrzawy ogólnej i ciemności, bawiło się po swojemu.

Ale nagle zaległa cisza, jakby jakaś wróżka z baśni czarodziejskiej rozsypała na głowy zebranych sen ziele. Ręce giętykujące zatrzymały się nagle, wyrazy na ustach na pół wymówione zastygły, oczy wszystkich zwróciły się na estradę. Tą czarodziejką, która niespodzianie wzburzone fale ludzkich namietności uspokoiła, była młoda dziewczyna, która nagle wbiegła na skrzypiące deski estrady i podnosząc w górę chudą, szczupłą rękę, zdawała się nią mówić:

— Uciszcie się i posłuchajcie mnie.

Jakoż uciszono się, bo zjawisko było niepowszednie widzieć przemawiającą kobietę i wszyscy byli ciekawi, co ona powie. Była nieco zmieszana i na jej twarzyczkę błada, mizerna, nieładna, ożywiona tylko parą dużych, gorączkowych, czarnych oczu, wykwitł przelotny rumieniec, który zresztą zaraz zgasł. Stała na estradzie, mając oczy wszystkich na sobie zwrócone i czując te oczy na sobie w swej nędznej wąskiej sukience, nieokreślonej barwy wśród tych migotliwych blasków, oddającej jej zapach biodra, jej kształty szczupłe, niośle, pozwalając widzieć jej nożyny małe, obute w stare, rozdeptane i zabłocone buciki.

Nakoniec opanowała wzruszenie. Podniosła twarz, okoloną włosami, krótko przystrzyżonymi i w nieładzie rozrzuconymi, na których chwiały się jakiś fantastyczny kapeluszek słomkowy z kokardą pomietą i piórkiem, drżącym za najmniejszym ruchem głowy. Wszystko to, ta postać chuda, te buciki wytarte i brudne, ta sukieneczka nędzna, te włosy krótkie i oczy, palające ogniem, tworzyły ze stojącej na estradzie kobiety zjawisko gdzieindziej bardzo pospolite, u nas w Polsce na szczęście mało jeszcze znane.

— Towarzysze i towarzyszki! — zaczęła mówić głosem, który musiał być kiedyś ładny i pięciwy, ale teraz raził tu i owdzie chropawymi tonami — chcę wam powiedzieć, że wszystko się na nic nie zda, wszelkie

teorie nie zniosą nędzy i poniżenia na ziemi, dopóki kobieta nie będzie wolną. Nie z kapitalizmem trzeba walczyć, ale z niewolą kobiecą. Zniesienie jej będzie zniesieniem kajdan, kępujących ręce stanu czwartego...

— Co to jest stan czwarty? — ozwał się z głębi głos jakiś z wyraźnym akcentem żydowskim — ja nie słyszał o żadnym stanie czwartym. Co to jest?

Ale ona nie zwróciła uwagi na tę przerwę. Już teraz mówiła płynnie, giętykulowała żywo i nie bez pewnego wdzięku, chuda, wynędzniała twarzyczka rozgorzała ogniem zapалу, blade usta pokryły się purpurą krwi, a duże, czarne, kiedyś może bardzo piękne oczy świeciły i takie blaski ciskały, jak brylanty.

— Dopóty — wołała — dopóki nie będzie zniesione małżeństwo, dopóty będziecie w niewoli. Z zapanowaniem w społeczeństwie ludzkim wolnej miłości, zapanuje szczęście i swoboda prawdziwa.

— Tak! tak! tak! — przytakiwały liczne głosy kobiece wśród zebranych w izbie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Podnosząc rękę w górę z gestem szerokim — zawołał donośnym głosem.

swoją duszę na ścieżaj, pokazywał im w oddali gwiazdę zbawienia, tryumf i zwycięstwo, a oni go zdeptali, nazwali szpiclem. Nie miał do nich żalu, ani pretensyi. Wszak oni należą do tych ludzi, o których Pismo Święte mówi, że nie wiedzą, co czynią, ale obudził się w nim uśpiony na chwilę zgorzkniały pesymizm, który mu szeptał teraz do ucha:

— Widzisz, przekonałeś się, że dla ludzi nic nie warto robić. Nie usłuchają, skopią i zelżą. Niech się żrą wzajemnie, a tobie co do tego? — Wszak wiesz dobrze, że wszystkie twoje usiłowania, całe napięcie twojej woli, nie powstrzyma kolei ludzkich przeznaczeń, nie zatamuje wzrostu najnędzniejszej trawki. A przysięgam — co ci to po tem? przecież czy będziesz co robił, czy nie, zawsze jednakowo umrzesz. I wobec tej nieubłaganej, niepowstrzymanej, koniecznej i nieuniknionej śmierci zastanów się, czy warto łbem mur przebijać i dla tego nikczemnego, dzikiego, chciwego stworzenia, które się nazywa człowiekiem, cokolwiek robić?

Zszedł w milczeniu z estrady i zanurzył się w ten tłum, postanawiając sobie być tylko widzem rozgrywających się przed jego oczami scen.

A sceny te zaczynały być coraz ciekawsze. Już owego żydka, syna kupca Szlomy Stokfisz z X.